



Tomasz Łubieński

ANI TRYUMF,  
ANI ZGON...

SZKICE O POWSTANIU WARSZAWSKIM



Tomasz Łubieński

# Ani tryumf, ani zgon

Szkice o Powstaniu Warszawskim

# I

## GODZINA „W” 1 sierpnia 2004

Spółeczny sukces uroczystości zaczął się od dobrze pomyślanego przygotowania. Okazało się raz jeszcze, że środki komunikacji masowej nie są złem same przez się. Mogą doskonale służyć również dobrej sprawie. Od paru miesięcy przypominano Warszawie o rocznicy Powstania. I to niekoniecznie książką czy dyskusją. Również *outdoor*. Świetnym pomysłem było umieszczenie na szybach przystanków fotograficznych dwukolorowych sylwetek powstańców. Obok teksty wierszy czy piosenek z tamtych dni. Sam byłem świadkiem (więc anegdota prawdziwa), jak na ten widok zareagowali agresywnie wygoleni chłopcy z puszkami „Lecha” w garści. – Ty – powiedział jeden tak zwany łysy do drugiego łysego. – Zobacz, oni byli w naszym wieku. Pomijam towarzyszący wypowiedzi bluzg, bo nie miał związku z jej treścią. Sam fakt, że zwrócili uwagę, mało tego, że odnieśli się do swoich rówieśników sprzed kilkadziesiąt lat, wydał mi się obiecujący. Że (to już dodam od siebie, na kredyt) odczuli jakąś łączność z tamtymi wyobrażonymi na szybie. Co ewentualnie, ich żywych, choćby przez sekundę skłoni do zastanowienia się nad sobą, niekoniecznie krytycznie, może przeciwnie, z uczuciem ulgi.

Kiedy doczekali się swojego autobusu przeczytałem co dokładnie wydrukowano na przystanku. Utwór jednego z bohaterów Powstania, Zbigniewa Jasińskiego, pseudonim „Rudy”. Był tam wers: „Niechby całe miasto spłonęło”. Oto „Rudy” w imieniu właściwie narodu, a już na pewno w imieniu Warszawy, ofiaruje miasto na całopalenie. I jeszcze: „Ta ofiara nie będzie daremną”. Takie życzenie, taka pewnośc. Dla mnie punkt wyjścia do rocznicowych rozważań.

Na kilka dni przed obchodami na mieście pojawiły się plakaty podnoszące ten właśnie problem pamięci pokoleń. Oto nasi młodzi współcześni, rozmaicie poubierani, modnie uczesani albo nie uczesani, a na ramieniu biało-czerwona opaska. Tylko po co ten podpis: „Umierali w słońcu” - co on ma właściwie oznaczać? Rozplakatowano program uroczystości z powstańcą kotwicą i zapowiedź książki Normana Daviesa *Powstanie 44* (tytuł mickiewiczowski). Radio i telewizja umiejętnie stopniowały rocznicowe napięcie. Na ulicy Przykoppowej, w letnim kurzu i ulewie szykowano Muzeum Powstania Warszawskiego z wykorzystaniem starej fabrycznej architektury. Otworzył Muzeum 31 lipca prezydent Warszawy Lech Kaczyński, człowiek wychowany w powstańczej tradycji, dla którego sześćdziesięciolecie Powstania było sprawą osobistej ambicji politycznomoralnej. Książka Daviesa (podobno w ciągu kilku dni sprzedano trzydzieści tysięcy egzemplarzy) zrymowała się z wejściem Polski do Unii Europejskiej. Davies odniósł zresztą trudny międzynarodowy sukces: udało mu się, jak żadnemu dotąd z przyjaciół Polski, dowieść, że jej dzieje, tym razem Powstanie, należą do wspólnej historii.

Ulice wakacyjnej Warszawy opanowali zaproszeni przez miasto stołeczne kombatancki. Odprasowane opaski, biało-czerwone wstążeczki, a w kieszeniach lekarstwa na każdą imprezę. Najwidoczniejsi ci z Zachodu, umundurowani w granatowe marynarki typu klubowego, jasne spodnie, anglosaskie w stylu berety albo furazerki, dystynkcje, odznaczenia. Oraz harcerki i harcerze Rzeczypospolitej w strojach organizacyjnych. Spotkały się szczęśliwie dwa odległe od siebie, na ile biologia pozwala, pokolenia.

Wiadomo: w relacje ojców i synów wpisany jest konflikt, bunt i jego poskramianie. Sąsiednim generacjom wolno mieć z natury odmienne racje, inne życie. Miłość rodzicielska bywa agresywna. A czwarte przykazanie brzmi: „Czcij ojca swego i matkę swoją”, bo widocznie często jest inaczej. Zresztą każde przykazanie postawione zostało przeciw ludzkim skłonnościom – słabościom. W tym wypadku synowie niekoniecznie przyjmowali za swoją legendę Powstania. „Mój ojciec był bohater, a my jesteśmy nic” – mówił Stary Aktor na pustej scenie jeszcze w finale *Wyzwolenia* Wyspiańskiego (chodziło o Powstanie Styczniowe). Ale również taki hołd połączony z niską samooceną bywa psychologicznie ryzykowny. Kompleks syna wobec ojca może zamiast podziwu przerodzić się w pretensję. Że ojciec (teraz już o Powstaniu Warszawskim) nie potrafił w swoim zniewolonym powojennym życiu sprostać legendzie. Że łudził się luksusowo, dawał się strofować, mylił się w tę czy w tamtą stronę. Że za mało opowiedział. Że przynudzał. Że skrywał swoją przeszłość, swoją rolę, albo że ją mistyfikował. (Być może syn domyślił się po latach, że ojciec nie chciał swoim doświadczeniem obciążać bliskich, którzy muszą sprostać innej sytuacji). Ale tegorocznymi weteranami opiekowało się już pokolenie wnuków. Wyrażna starość i oczywista młodość potrafi się przy takich nadzwyczajnych okazjach bezinteresownie porozumieć. To dorośli, uwikłani w życie, stwarzają problemy swoim następcom i poprzednikom. Młode ramię w harcerskim mundurku, kubek wody podany z czułą atencją, upewnia starego żołnierza skuteczniej niż przemówienia, fanfary i celebry, że sześćdziesiąt lat temu nie tylko miał rację, ale że tamta walka, jak widać i słyhać dookoła, pomyślnie się skończyła i że było dla kogo walczyć. Bo, to chwila patosu, zachód i wschód słońca są najpiękniejsze.

Rocznica 2004 przyćmiła uroczystości pięćdziesięciolecia wybuchu Powstania, które obchodzono przecież podobnie w wolnym kraju. Przewodniczył prezydent Wałęsa. Przyjechał prezydent Niemiec Roman Herzog, zaproszono życzliwego Polsce prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, ale taktownie (trzeba to zrozumieć) nie przybył do Warszawy. A weteranów było o dziesięć lat więcej niż dzisiaj. (Pomyślmy tylko, jak to szybko idzie: podczas kolejnej ważnej rocznicy 75-lecia Powstania najmłodszy weterani będą mieli po dziewięćdziesiąt lat). W międzyczasie ojców-powstańcom podrosły wnuki, która to zachwalana tutaj relacja dziadek-wnuk, sprzyja legendzie. Ale legenda jest tylko, bardzo ważną zresztą, częścią prawdy. Tak, częścią, która niewiele kosztuje, ale przydaje się do życia. Oczywiście nie należy, nawet nie wypada, pytać o cenę Powstania jego uczestników: odpowiedzieli już w swoim czasie raz na zawsze. A nawet jeśli potem ten czy ów, już po fakcie, zastanowił się nad swoją wcześniejszą odpowiedzią, to dobroczynny mechanizm ludzkiej pamięci zachowa wspomnienie nadziei, na którą zawsze może się powołać, zwłaszcza tych pierwszych chwil powstańczej wolności. Pomoże zblaknąć obrazom klęski i załamania. Ci, którzy dożyli wolności, aż po radość rocznicowego dnia, mają święte prawo być dumni. Ale większość już poległa albo pomarła: udział w Powstaniu nie tylko pokomplikował, ale przykrócił życie niejednemu. Oni milczą. Więc często zbyt efektownie przemawia się za nich, bo zapewne sporo wśród owych milczków znalazłoby się mizantropów, sceptyków, malkontentów, które to słabości ludzkie wytykano z okazji podniosłej rocznicy. Dlatego warto się

o nich upomnieć: ginęli bez różnicy, jak bojowcy, którzy nie znają podobno wahań i trwogi. A może nawet łatwiej: głupio im było za swoje grymasy czy wahania. I chcieli, komu właściwie – chyba głównie sobie – udowodnić, że są w porządku. A skoro trzeba im było aż takiego ostatecznego świadectwa swojej *amor patriae*, to może naprawdę (tak mogli myśleć) nie warto upierać się przy swoim inteligenckim (mentalnie, nie klasowo) bytowaniu. Dla kontrastu zdarzało się, że niektórzy przedstawiciele powstańczej elity uznali swe życie i zdrowie za zbyt cenne dla kraju, aby nim lekkomyślnie szafować. Ostatnich obrońców Mokotowa, którzy przeszli kanałami do Śródmieścia witały (jest taka relacja) ironiczne uśmiechy eleganckich oficerów i docieklive pytania, dlaczego żeście się wycofali?

Z wysokości sześćdziesiątej rocznicy szydzi znany felietonista z tych wszystkich, którzy „dziś jeszcze uważają Powstanie Warszawskie za bezsensowne, głupie, a nawet zbrodnicze”. Nie od rzeczy byłoby przypomnieć, że najcięższe oskarżenia przeciw autorom Powstania wytaczał generał Anders. Wielu uczestników i badaczy „dziś jeszcze” krytykuje decyzję i przebieg Powstania. Nie było ono przecież oczywiste, jak się to tylko wydaje dzisiejszym bezinteresownym apologetom, skoro na ostatniej przed wybuchem naradzie sztabowej w pełnym składzie głosowano remisowo. Pięć za, pięć przeciw (w danych okolicznościach) Powstaniu. Potem zagrała insurekcyjna niecierpliwość, patriotyczne napięcie, osobiste ambicje, bez których nie ma polityki i jej przedłużenia – wojny. Tylko kiedy dzisiejsi harcerze pomagający weteranom dorosną, być może nie wystarczy im oczywistość. Wszystko co zbyt rocznicowe, oficjalne, przestaje być dla młodych, wolnych ludzi atrakcyjne. Myślę, że już dzisiaj rówieśnicy harcerskich wolontariuszy w znacznej liczbie, choćby przez przekorę, dystansują się wobec Powstania. Bo młodzież w ogóle nie przepada za lekcją, zwłaszcza namaszczonej.

Jeśli pamięć o Powstaniu przeżyła tak autentycznie sześćdziesiąt lat, to w znacznej mierze dlatego, że wciąż były z nią, oględnie mówiąc, kłopoty. Władza ludowa nie tylko tępiła Powstanie, ale próbowała odebrać mu wielką rolę, najchętniej zatrzeć w ludzkiej pamięci. Bez powodzenia, więc Powstanie stało się dla władzy problemem. Jak zresztą wiele spraw, z którymi borykała się przez cały czas swego panowania. Kościół, handel, wieś dla przykładu. A z historii najnowszej wymieńmy Katyń, 17 września, właśnie Powstanie Warszawskie. Ale z tej listy Katyń w ogóle nie mógł być rozpatrywany, bo nie istniała żadna zbrodnia radziecka, tylko niemiecka. I koniec. Kto zaczynał sprawę katyńską wśród bliżej nieznanym, postrzegany był jako wariat, prowokator, niebezpieczny dla otoczenia straceniec. I nie bez powodu. Dość, że Katyń przez kilkadziesiąt lat nie funkcjonował publicznie, jako biała, to znaczy czerwona plama. Co innego 17 września. Tu już nikt nie mógł zaprzeczyć faktom, pleniło się więc kłamstwo interpretacyjne, równie uporczywe, jak mało przekonujące. Bo trudno było wytłumaczyć człowiekowi o jakiej takiej inteligencji i przyzwoitości, że pakt Ribbentrop-Mołotow i jego naturalna konsekwencja w postaci wkroczenia Armii Czerwonej do Polski miała inne, prócz zbrojeckiego, uzasadnienie. Natomiast wokół Powstania i z Powstaniem toczono grę. Od początku. Brutalną, oczywiście. Podstępą, jak najbardziej. Prowadzono dyskusje, nawet jeśli były to pseudodyskusje, bo zawsze kwestia nieudzielenia Powstaniu pomocy pozostawała w nieomówieniu. Ale jeśli wbrew słusznym z pewnością, niekiedy, niestety, niewykonalnym zasadom prawa rzymskiego, mówi się tylko część prawdy, a nie całą prawdę, to jednak jest w tym nadzieja przeciwko nieprawdzie totalnej, bo przynajmniej coś prawdziwego ocaleje. I nawet ta niepewna, ułomna prawda jest

widoczna, odróżnialna. Trzeba się tylko starać, aby się rozszerzała i pogłębiała. A to, co się zakłamuje, byle nie unicestwia, można czujnie, polując na dobrą okazję, odkłamać.

Autorem wstępu do albumu fotograficznego, który wkrótce po wojnie poświęcono ruinom Warszawy, jest Kazimierz Brandys. Przeciwstawia się dowództwu Powstania, opiewa bohaterstwo walczących. I taka będzie, z różnymi odmianami i niuansami, przez czterdzieści lat z górą, linia oficjalna. Różnicująca. Dowództwo z rządem londyńskim w tle. Oraz żołnierzy Powstania i lud warszawski, z którego się wywiedli. Ale przynajmniej język Brandysa jest przyzwoity. Co innego właściciele Polski Ludowej, wcale niekoniecznie stalinowcy. Taki Gomułka, który dziesięć lat później otrzymał rekordowe poparcie narodu (tylko Jan Paweł II i Lech Wałęsa go prześcignęli) już wtedy wyrażał się o Powstaniu nienawistnie. Dla niego było dziełem sanacyjno-oenerowskich awanturników (i któż by śmiał mu to wypomnieć w październiku 1956 roku). Zresztą wszyscy o tym zapomnieli, ale on, mściwy i małoduszny, nie zapomniał, że mimo swoich niebezpiecznych, partyjnych porażek, które przysporzyły mu takiej popularności, rząd londyński był jego pierwszym rywalem, a swoją władzę zawdzięczał obcej armii. I dlatego nie odpowiedział nawet na list dowódcy Powstania, generała „Montera”, który chciał wrócić do kraju, chciał po prostu umrzeć w Polsce i, aby mieć taką możliwość, deklarował w owym liście poparcie dla nowej, ludowodemokratycznej ojczyzny.

Plugawy język, którego symbolem stało się wyrażenie „AK – zapłuty karzeł reakcji”, zapożyczono z najgorszej radzieckiej propagandy. W chamski sposób wypowiadał się o Powstaniu premier Edward Osóbka-Morawski, który przeszedł do historii jako przystojny figurant. Porucznik Zenon Kliszko z AL stwierdzał, że ppłk „Żywiciel” poddał Żoliborz Niemcom, żeby tylko nie połączyć się z berlingowcami. Michał Rola-Żymierski, legionista, zawodowy oficer, skompromitowany w aferze korupcyjnej, awansowany na dowódcę Armii Ludowej, wreszcie marszałek Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, świadomie kłamał, że Bór-Komorowski uciekł z Warszawy. W tej propagandzie nie szczędzono również słowa „Targowica”, co miało szczególny smak i zapach w ustach ludzi, których w dość powszechnym odczuciu uważano za spadkobierców tej niesławnej tradycji.

Prócz bezpośrednich szkód, które lata indoktrynacji, szczególnie silnej stalinowskiej, wyrządziły społeczeństwu, zwłaszcza młodemu, miała ona jeszcze jeden uboczny skutek. Otóż w przyzwoitym towarzystwie Powstania należało bronić w całości, jako pomysł i wykonanie. Wyostrzył się rodzaj patriotycznej poprawności, wtórnej cenzury. Obie przetrwały okoliczności, które były przyczyną ich zaistnienia. Żyją nadal własnym życiem i były doskonale widoczne podczas rocznicy. Tak jakby rozważanie Powstania, pytanie nie tylko o przyczyny, ale również skutki, było czymś niestosownym.

Okazuje się, że w niewdzięcznych latach pamiętano o Powstaniu, dyskutując o nim. Ukazywały się w miarę dopuszczalnej możliwości ważne i popularne książki: *Kamienie na szaniec*, *Przemarsz przez piekło*. Już po Październiku wydano dwa ważne opracowania wojskowej historii Powstania: Kirchmayera w „Książce i Wiedzy” i Borkiewicza „PAX-ie”. To ostatnie dzieło ma rangę źródła historycznego. Korzystał z niego m.in. obiektywny niemiecki historyk Powstania von Krannhals, którego książka powinna być już dawno przetłumaczona. Oczywiście w dziełach Kirchmayera i Borkiewicza, według przywoływanej zasady (prawda, chociaż niecała prawda, ale przynajmniej część prawdy) nie była zbyt dotykana postawa radziecka i PKWN-owska wobec Powstania. Tym bardziej w fachowej, wojskowej analizie Powstanie przedstawia się jako czyn bohaterski, ale pozbawiony szans powodzenia. „PAX” zresztą, niezależnie od

swej politycznej roli w PRL-u, ma wobec pamięci Powstania wybitne zasługi. Opublikował m.in. wiersze Tadeusza Gajcego, największego poety „Sztuki i Narodu”, które stanowiły okupacyjną tradycję stowarzyszenia. Powstaniec-akowiec (podobnie jak andersowiec z drugiego korpusu) stał się legendą, sekssymbolem lat 40 i 50. Romantyczny, owiany tajemnicą, trochę wyklęty. I piękny. AL-owiec czy berlingowiec nie miał przy nim żadnych szans. Chodził tamten w berecie (andersowskim), bluzie z angielskiego battle-dressu, co było trochę manifestacją, trochę koniecznością, modne ubieranie się po wojnie nie było łatwe. „Wysoki, szeroki w barach” – taki przetrwał w piosence Jacka Kaczmarskiego. Wajda w swoim czasie uczcił Powstanie *Kanałem*, a potem uszlachetniając *Popiół i diament*, dodał do AK-owskiej legendy słynne ciemne okulary Cybulskiego. W ten sposób skomunikował ze sobą tragiczne wojenne i o ćwierć wieku młodsze, konsumpcyjne w ramach PRL-owskiego ubóstwa, pokolenie.

Ale to raczej okupacja, kiedy wróg był jednoznaczny, a przyszłość dostępna nadziei, niż Powstanie z jego przekłętymi pytaniami o cenę, sen i nie doczekaną aliancką pomoc, stało się scenerią filmów paradokumentalnych (*Akcja pod Arsenalem*) i serialowych. Trzeba też oddać sprawiedliwość *Kolumbom* Romana Bratnego. Łatwo im wiele zarzucić, zwłaszcza z dzisiejszego punktu widzenia. Przez wiele lat podtrzymywały legendę powstańczego pokolenia, w sposób zbliżony do prawdy, na ile było to podówczas możliwe. Temat Powstania stanowił wyzwanie dla uczciwych historyków w ich obowiązkowych zmaganiach z manipulacją, a także, co bywało przykre, popularnym mitom. Powstanie stało się przedmiotem opozycyjnej edukacji, jak cała najnowsza historia. Pojawiło się również w rozgrywkach partyjno-rządowych. Ponieważ władza, odkąd pozbawiona otwartej przemocy, niepewna swego, starała się na swoją miarę uwiarygodnić. Weteranów kokietowano selektywnymi przywilejami, a w ZBOWID-zie spotkali się ludzie, którzy nie mieli sobie nic do powiedzenia, a raczej mieliby zbyt wiele: ci, którzy siedzieli i którzy sadzali.

Mimo represji czy fałszów pamięci pozwalano sobie na luksus dyskusowania również niewygodnych prawd. Zaraz po wojnie, kiedy tropiono AK-owców, Jan Józef Szczepański napisał ważne opowiadanie *Buty*, o tym, że zło nie ominęło dzielnych partyzantów. W okresie neutralizowania przez lukrowanie pamięci Powstania Warszawskiego Miron Białoszewski wydał swój *Pamiętnik*, gdzie opisał Powstanie nie bohaterskie, widziane oczyma człowieka przerażonego. Zastanawiające, że dzisiaj, kiedy można powiedzieć wszystko bez obawy, że może to komuś zaszkodzić i każdy ma do tego prawo, Powstanie się obchodzi, ale Powstania się nie dyskutuje. Ostatni raz przydało się już ćwierć wieku temu „Solidarności”, jako tradycja i doświadczenie. Brano z Powstania lekcję odwagi i lekcję rozważli. Czyli jakby za Powstaniem i przeciw Powstaniu. Twórczy dylemat, który Edmund Osmańczyk zaraz po wojnie wyraził prostym wierszem: „Przeklnie rozum tysiąckroć Powstanie, serce ujrzy tysiąckroć je w glorii”.

Służby publicystyczne PRL zajmowały się Powstaniem w złej wierze, nie mając po temu moralnego prawa. Gorzej, że posługiwały się nie tylko kłamstwem, prawdą również, w zmiennych proporcjach. Istotnie, Powstanie skierowane było politycznie przeciw PKWN-owi, ostrzegawczo wobec Armii Czerwonej. Faktycznie nie zadbano o jego dyplomatyczną osłonę. Na dobrą sprawę nic konkretnie nie uzgodniono z aliantami. (Inna rzecz, czy by to cokolwiek pomogło). Niewątpliwie rzucono na szaniec piękne pokolenie. Rzeczywiście, jak świadczy o tym wiersz Zbigniewa Jasińskiego *Żądamy amunicji*, Powstańców denerwował nadawany z Londynu jako sygnał audycji dla nich i o nich, katastroficzny *Chorał* Ujejskiego. Amunicji było

na trzy-cztery dni, bezcenne ilości broni wysłano z Warszawy w teren: nie planowano wówczas „Burzy” w Warszawie. A potem nadszedł 1 sierpnia i rozkaz – Godzina „W”.

Ale dziś – współcześnie przyjęło się zbyt łatwo, że wszystkie możliwe błędy popełniono w imię wolności, która rozgrzesza ze wszystkiego. Tak jak niektórzy uważają, że wszystko rozgrzesza miłość.

Więc nie mamy dyskusji o Powstaniu. Bardzo by się przydała w nowej europejskiej sytuacji. Zamiast, słyszałem straszne głupstwa à propos, wypowiedziane publicznie. Oto Europa powinna, pamiętając o Powstaniu, mieć się na baczności, bo z Polakami nikomu nie pójdzie tak łatwo. Jeżeli takie ma być nasze zaplecze emocjonalne dla nieuniknionych targów o miejsce bryndzy i oscypka na europejskich straganach... Czy takie ma być przesłanie dla Europy, nasze europejskie wiano? Obawiam się, że sprawa może okazać się handlowo delikatniejsza, bo jest trudniejsza niż przeprosiny, których tak chętnie wysłuchujemy. Żeby nas przeproszali nie tylko wrogowie, ale po kolei alianci, cała wielka czwórka. Mnożą się recenzje, kto nas już i jak przeprosił, kto jeszcze nie, czeka w kolejce. I niewiele jest refleksji nad tym, że słowo „przepraszam” jest towarzyskie i nie może się równać z „proszę o przebaczenie”. Bo w gruncie rzeczy domagamy się uprzejmości, aby poprawić swoją samoocenę. Chociaż nie jest oczywiste, czy jeżeli wszyscy chętnie nas przeproszą, coś się od całego świata więcej należy.

W dyskusji o Powstaniu, która byłaby sporem o sens czy bezsens historii, etykę i politykę, mógłby nam pomóc Norman Davies, jeden z tych co nadzwyczaj skutecznie wprowadza nas do Europy. Ale obawiam się, że zbyt uległ urokom polskiej historii, traktowanej jako Boże igrzysko. Mógłby nas uczyć ofiarnego i trzeźwego brytyjskiego patriotyzmu, niestety, co zresztą bardzo miłe, wyraźnie się spolonizował. Tu przypomina mi się opowieść Mariana Brandysa, jak to w oflagu brytyjscy oficerowie przyjęli wiadomość o kapitulacji Paryża. Najstarszy stopniem, o typowo brytyjskim nazwisku Casanowa, zebrał wszystkich w baraku, powiedział, co się stało. Odśpiewano „God save the King” i na tym zebranie zakończono nie powracając do tematu. Oczywiście, jako człowieka Zachodu, bardziej Daviesa interesują i szczerze denerwują grzechy aliantów zachodnich, niż polskie błędy. Bardziej ich zaniechania, niż nasze zaniedbania. Spór o decyzję rozpoczęcia Powstania uważa za akademicki, przestrzały, a przecież gdyby nie została podjęta, nie mielibyśmy tu o czym mówić i pisać. Wylicza polskie błędy, ale bez szczególnego nacisku, uważa je bowiem za nieistotne w porównaniu z alianckim niedowładem woli i umiejętności w ratowaniu Powstania, co nazywa niekompetencją. Można się tutaj zastanawiać nad złą wolą, ale polskie błędy są konkretniejsze, bo za każdym z nich stoją ludzkie ofiary. A zatem czy opieszałość, ignorancja, niechęć wobec losu Warszawy alianckich, w tym anglosaskich biurokratów wojennych i dyplomatycznych, tłumaczy krwawe frontalne ataki źle uzbrojonych Powstańców na fachowo przygotowane niemieckie punkty oporu? Czy sabotowanie działań na rzecz Powstania przez promoskiewskie sympatie, prokomunistyczne przekonania, nawet za moskiewskie ruble, niektórych odpowiedzialnych urzędników koalicji, usprawiedliwiają rozproszenie skromnych sił i środków w Godzinie „W”? Czy nielojalność Roosevelta, nieskuteczność Churchilla tłumaczy, iż Powstanie trwało poza granicami ludzkiej wytrzymałości? Czy brutalna perfidia Stalina zdejmuje z przywódców Powstania odpowiedzialność za karmienie śmiertelnymi złudzeniami siebie samych, swoich żołnierzy i mieszkańców miasta? Przekonania, że Zachód jest winny, mile dźwięczą w polskich uszach. Ale czy opieszałość francusko-angielska w 1939 roku pomniejsza błędy polskich sztabowców? Francuzi nie chcieli bić się za Gdańsk, to prawda. Ale nie było to wcale takie łatwe.



Niemiecka „Linia Zygryda” w pięć lat później kosztowała aliantów pół roku walk i ćwierćmilionowe straty. W 1944 roku Powstanie nie otrzymało należytej pomocy ze względów głównie politycznych. Ale zrzućcie polską brygadę spadochronową na Warszawę było nierealne. Lot przez bronione przeciwnie Niemcy z ciężkim sprzętem trwałby wówczas około dziesięciu godzin. Lotniska Powstańcy nie opanowali. Na Woli, gdzie jak sobie wyobrażano, mogłaby lądować brygada, stacjonowały oddziały dywizji „Hermann Göring”. A, co rozstrzygające, Stalin nie życzył sobie przelotów i lądowania swoich sojuszników na zdobytym terytorium. Od czasu do czasu strzelano nawet do alianckich samolotów, żeby dać im to do zrozumienia.

Mam nadzieję, że historycy dyskutujący o Powstaniu w „Nowym Państwie” imputują Normanowi Daviesowi tezę jakoby Powstanie Warszawskie było drugim „cudem nad Wisłą”, bo inaczej, gdyby nie nastąpiło, Armia Czerwona doszłaby do Renu. (To wielki komplement dla możliwości Armii Czerwonej: jeden skok od Białorusi do Nadrenii). A może jeszcze dalej. (Nic podobnego w *Powstaniu 44* nie wyczytałem). Ten drugi „cud nad Wisłą”! Typowe polskie przechwałki, bo przecież główną rolę w powstrzymaniu Armii Czerwonej odegrała niemiecka IX Armia, a zwłaszcza doskonała spadochronowo-pancerna dywizja „Hermann Göring”. Że też radziecka propaganda nie wpadała na taką wymowę Powstania! Tuż obok inna rewelacja: „Doszło do rzeczywistej współpracy sowiecko-niemieckiej na terenie Warszawy w roku 1944, przez 66 dni”. Współpracy nie „obiektywnej”, co podsuwa moderator, ale – podkreśla dyskutant: „operacyjnej”. (To jakby replika lubelskiej i moskiewskiej propagandy o współpracy AK z hitlerowcami). Według drugiego dyskutanta, dr. Żaryna, gdyby dowódcy Powstania wiedzieli, że wcześniej, poza ich plecami zawarto układ o podziale świata, wystąpiliby przeciw temu układowi, a nie tylko żeby, co młodemu historykowi wydaje się widocznie zbyt skromne, mało ambitne, zmanifestować polską wolę niepodległości. „Nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości – to znowu dr Kunert – że Powstanie było ciosem w samo serce Moskwy i Lublina”. Podobnie, pewnie mniej dramatycznie, odebrał Powstanie Stalin: w tym świetle zrozumiałe, że sam nie pomógł, pomoc aliancką uniemożliwił. I logicznie trudno się dziwić aliantom, że nie wsparli owego „ciosu w samo serce Moskwy” (Lublin można pominąć) – czyli swojego może nie pierwszego, ale bardzo wydajnego sojusznika. Zatem rozgrzesza się aliantów – tutaj wbrew Daviesowi. I Stalin wypada w porównaniu z aliantami, jak na Stalina zupełnie dobrze. Przynajmniej bez hipokryzji nie kryje, czego można się po nim spodziewać. A czego można spodziewać się po zbrodniarzu? Humanitaryzm, moralność polityczna, braterstwo broni we wspólnej walce nigdy nie były mocną stroną Stalina. A do nich też się odwoływano.

Historycy współcześni bardzo chętnie wykraczają poza zawodową normę: nie wystarcza im opis tego, co już naprawdę było, odkrycia nieznanych źródeł, tłumaczenie mechanizmów, nawet uparte szukanie sensu historii, jeśli się raz w ten sens uwierzy. Spekulują, co by było, nawet nie „co by było gdyby”, ponieważ owo „gdyby” oznacza względność, wahanie, tymczasem nasi specjaliści, zwolnieni na własny wniosek z naukowej dyscypliny, wypowiadają się z profesorską pewnością, której, jako wyrocznie, nie porzucają. Tak zwane scenariusze alternatywne wobec przyszłości przystoją raczej pisarzom, którzy mogą je sobie układać na własną odpowiedzialność: wiadomo, że tam, gdzie kończy się dokument, pełne prawo ma wkroczyć wyobraźnia. Historyk chcąc podjąć taką grę powinien przebrać się do niej w strój lekki i niekrepujący ruchów, mniej zobowiązujący, bo kiedy zaczyna przewidywać, bez dowodów, jak też inaczej ułożyłaby się historia, przyjdzie mu stracić część powagi na rzecz fantazji i popularności. Tu spotyka się z politykiem,

który posługuje się bliską przeszłością dla swojej przyszłości: straszenie tym, co mogło być, podobnie jak obiecywanki, należą do tego fachu. Sięganie do odleglejszych dziejów służy raczej jako krasomówcza ozdoba, popis wszechwiedzy.

Poprawna politycznie (ze wsparciem paranaukowym) staje się wróżebna wizja, że gdyby Powstanie nie doszło do skutku albo szybko się skończyło, byłoby jeszcze gorzej. Za sprawą Stalina młodzież powstańcza zostałaby wymordowana metodą katyńską, wygubiona na Syberii albo w pozostałej części zniewolona. Zniszczenie miasta w tym wariacie pozostawia się po staremu Hitlerowi. Wobec podobnych przewidywań Powstanie jawi się jako zgrabny manewr: oto uratowaliśmy polski honor z imponderabiliami, ku wiecznemu zawstydzeniu aliantów, czyli całego świata. A jako przykład, że mogłoby skończyć się jeszcze gorzej, niż się stało, przywołuje się między wieloma innymi fakt, że w pięć lat po powstańczej śmierci, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego poszukiwało UB. Wszelako z akowskiego punktu widzenia tę okoliczność dałoby się uznać za obiecującą: świadczyłaby ona o kompletnej ignorancji resortu (niestety, nie było tak dobrze), dzięki której wielu poszukiwanym udało się skryć i przeczekać. (Poszukiwania poety były, jak wiadomo, z góry skazane na porażkę). A ponieważ amatorom historii (bardziej niż zawodowcom) wolno domniemywać i dywagować (za to nie trzeba traktować ich zbyt poważnie) przyjmijmy, że ubecka wizyta miała być ostrzeżeniem, mogła być nieporozumieniem. Albo dowodem służbowych zaniedbań i bałaganu w kartotece.

Zresztą poszukiwania nie oznaczały jeszcze drastycznych represji: ich repertuar był przebogaty, sprawy doraźne załatwiano po cichu. Okrucieństwa, skrytobójstwa czy morderstwa sądowe poprzedzała często zdrada i oszustwo w postaci zaproszeń dla dopełnienia formalności, otwartej dyskusji, przy okazji zakładania zupełnie nowych, nielegalnych organizacji. Czy którąś z tych technik importowanych ze Wschodu zastosowano by wobec Baczyńskiego? Wolno przypuszczać, że oficerowie, których Baczyński zaniepokoił dopiero w roku 1949 i w związku z tym rozpoczęli poszukiwania, nie czytali, nie wiedzieli nawet, że dwa lata wcześniej wydano *Śpiew z pożogi*. Że Baczyński wywodził się z przedwojennej lewicowej inteligencji, którą wolno było kokietować, a zarazem pozyskiwać. Baczyński miał już w chwili śmierci wysoką pozycję jako poeta, nie bawił się w antykomunizm, słowem: gdyby żył (tylko to słówko „gdyby”) stanowiłby idealny „target” dla Jerzego Borejszy, prezesa „Czytelnika”, który zniewolił, zarazem ocalił wielu pisarzy. I chyba *summa summarum* dobrze zrobił: kultura polska, a także wolność polska miały z nich wiele pożytku. Tu szczególnie przekonujący wydaje mi się wiersz Wisławy Szymborskiej o Baczyńskim: z zastosowaniem gramatycznej wirtuozerii, tym razem odnośnie ze wszech miar na miejscu trybu warunkowego. Oto Baczyński w obszernym swetrze schodziłby („by” – jak to słówko dźwięczy) do telefonu w jadalni któregoś z Domów Pracy Twórczej. Być może po przejściach, a może tylko po spacerze pod Regłami: różnie się możemy domyślać. A może by przez obóz jeniecki wyemigrował? A może związałby się z „Tygodnikiem Powszechnym”?

Gdyby UB bardzo się na Baczyńskiego zawzięło, byłoby z pewnością wiele interwencji: władzy ludowej – do pewnych granic, jak wiadomo – nieobcy był snobizm, a twórców traktowano jako ważny element nadbudowy. Co zaś do akowskiej legendy Baczyńskiego: władza w przyływach swojej wspaniałomyślności potrafiła przejść nad legendami do porządku dziennego. *Toutes proportions gardees*, Stanisław Ryszard Dobrowolski, w Powstaniu porucznik AK ps. „Goliard”, autor piosenki *Warszawskie dzieci, pójdziemy w*

bój i wielu innych powstańczych, odnalazł się całkiem nieźle w nowej rzeczywistości. Rzeczywiście kłopot byłby z Gajcym, drastycznie obcym ideowo, ale jego mógłby ratować Bolesław Piasecki.

Tak czy inaczej, te wszystkie spekulacje co do Baczyńskiego, Gajcego i bardzo wielu innych są bezprzedmiotowe: rozstrzygnęły je raz na zawsze celne niemieckie kule.

Bo Niemcy strzelali celniej. Nie zgadza się z tym między innymi Norman Davies. Powołuje się na obliczenia, według których stosunek Niemców zabitych do Niemców rannych świadczy o wysokiej skuteczności partyzantów. Było wprawdzie takie krzepiące hasło – „Jedna kula, jeden Niemiec” – ale przecież oddziały powstańcze nie składały się ze snajperów. Mieli natomiast Niemcy tak zwanych „gołębiarzy” skutecznie polujących nie tylko na powstańców, którzy walczą, ale głównie na łączniczki, sanitariuszki, ludność. W końcu trenowali Niemcy strzelanie do ludzi od kilku lat. Wyszkolenie takiego specja jest trudne nawet w rzeczywistym wojsku, cóż dopiero mówić o warunkach konspiracyjnych. Ale Davies, jak przyznał w jednym z wywiadów, nigdy w wojsku nie był: jego próba dostania się do Królewskiej Marynarki, na szczęście dla naszej pamięci historycznej, zakończyła się niepowodzeniem. A II wojny światowej też na własne oczy nie widział

Zwolennicy osiągnięć wojskowych Powstania pieczętując ustalają procenty strat, które Niemcy ponieśli w Warszawie w stosunku do całego frontu wschodniego czy zachodniego. Ale znaczna część tych strat dotyczy formacji tak zwanych „kolaboracyjnych”, którym na życiu własnym, nie mówiąc już o cudzym, nie zależało. Z wielu przyczyn zdrajcy radzieckiej ojczyzny, pijani i okrutni, nie mieli nawet szans komu się poddać. Były również w Warszawie jednostki pomocnicze, kolejowe, policyjne itp. Regularne oddziały Wehrmachtu czy SS rzeczywiście napotkały na wielkie trudności, stąd pochlebne dla przeciwnika opinie porównujące Warszawę i Stalingrad. Tak jest, tak było, walki wśród szkieletów kamienic, często o każde piętro, klatkę schodową, izbę, a w kościołach o poszczególne kaplice czy ołtarze, redukowałą przewagę techniki, wyszkolenia i organizacji. Wyrównywało się doświadczenie bojowe. Zwały gruzów niczym potrzaskane kamienne góry stawały się naturalnymi barykadami, piwnice schronami, kanały – jak w starożytnych twierdzach – pełniły funkcję podkopów i podziemnych korytarzy. Regulaminowe działania w tych warunkach zmieniały się w improwizację, w pojedynki jeden na jednego. (Von dem Bach tłumaczy się z charakteru strat niemieckich – wysoki procent zabitych – tym, że powstańcy strzelali z jak najbliższej odległości). Młodzi, sprawni, inteligentni powstańcy, zmobilizowani wiarą i nadzieją, „zemstą na wroga”, a w obliczu przegranej straceńczą fantazją, bronili się i kontratakowali, pomysłowo i wytrwale, ale było ich coraz mniej, bo tacy właśnie głównie ginęli. Cenne są niemieckie komplementy, ale służyły także usprawiedliwieniom, dlatego tak długo i uciążliwie trwa rozprawa z Powstaniem. Inna sprawa: gdyby Powstanie było rzeczywiście problemem dla frontu wschodniego (a bez wsparcia Armii Czerwonej nie było), IX Armia niemiecka utrzymująca linię Wisły rozprawiłaby się z Powstaniem, wiadomo jednak, że miała inne frontowe problemy. Dla prawdziwego wojska, którym armia niemiecka niestety była, Powstanie stanowiło problem nieciekawych. Co innego rozgrywać wielkie bitwy na rosyjskich stepach i kresach, błyskotliwie atakować, bronić się po mistrzowsku ze współdziałaniem wszystkich rodzajów broni. Tu, w zbombardowanej miejskiej dżungli, zwycięstwo nad młodzieżą pozbawioną instynktu samozachowawczego (jedną z zasad armii niemieckiej było oszczędzanie żołnierzy) nie pomnoży wojennej chwały. Wszelkie porażki są nie do pomyślenia i mogą przynieść tylko wstyd. Inna rzecz, że niedługo przed pierwszym sierpnia zabrano z

Warszawy kilka jednostek, które byłyby w stanie szybko poradzić sobie z Powstaniem. Niemcy, choć z Powstaniem się liczyli, mieli ważniejsze problemy na Wschodzie czy na Zachodzie.

Chętnie zrównuje się straty walczących w Powstaniu. Byłoby to znów pochlebne dla powstańczej sztuki wojennej. Być może Gajcy i Baczyński jako żołnierze nie byli dla przeciwnika szczególnie groźni, trudno jednak zaprzeczyć, że ich śmierć oznaczała dla strony polskiej stratę nieporównanie większą, niż dla naszych przeciwników wyeliminowanie z walki szeregowego Kałmuka czy nawet pana esesmana. Ale są to straty nieporównywalne, łatwiej natomiast można podważyć owe korzystne bilanse zabitych: zupełnie obiektywnym wyliczeniem. Otóż na każdego poległego powstańca przypada jeszcze około dziesięciu pomordowanych cywilów. Tak ich trzeba określić, bo byli bezbronni: wszystko jedno – zastrzeleni pod murem, zasypani w piwnicy, czy zmasakrowani móżdżerzowym pociskiem przy studni.

Według powstańczej retoryki, a także, niestety, reakcji niemieckiej, cały tak zwany „lud Warszawy” uczestniczył w Powstaniu. Stało się tak zanim jeszcze wybiła Godzina „W”, a właściwie tuż przed nią. Kiedy powstańcy kryjąc broń i – według wytycznych „Montera”, rozesłanych na kilkanaście godzin przed akcją – biało-czerwone opaski, zmieszani dla niepoznaki z popołudniowym tłumem szykowali się do zaskakującego ataku. Zamiast spróbować czynu, jak uczy historia, kiedy tych, co nie mogą dłużej znieść ucisku, niewoli i oczekiwania jeszcze osłania ostatnia być może noc, a pierwszy brzask wskazuje im drogę. Kiedy słabnie czujność i pewność wartowników. Wybrano jednak pełnię słonecznego dnia, bezbronną cywilną przesłonę. I tym sposobem udzielono wrogowi przyzwolenia (jakby takiego potrzebował), aby strzelać do wszystkiego, co się rusza. I Niemcy (nazwa ogólna) korzystali z tego okrutnego wojennego zwyczaju przez wiele tygodni Powstania.

Czy przy wszystkich wojskowych problemach, jakie Warszawa sprawiała od pierwszego sierpnia do drugiego października 1944 roku niemieckiej IX Armii i towarzyszącym jej formacjom (nawet jeśli łączne ich straty byłyby dwukrotnie poważniejsze), Powstanie przyspieszyło choćby o jeden dzień zakończenie wojny, co było rozmaicie rozumianym, ale póki co wspólnym celem koalicji przeciw Hitlerowi? Czy poświęcenie polskiej stolicy, zdziesiątkowanie pokolenia wychowanego w niepodległym kraju skróciło wojnę o jedną przynajmniej noc? Wojnę, która toczyła się na wielu frontach i kontynentach, na lądzie, morzu i w powietrzu? I nie była jeszcze do końca rozstrzygnięta. Geniusz von Brauna pracował wciąż dla hitlerowskiej Rzeszy. Na przekór alianckim bombardowaniom potężnie funkcjonował niemiecki przemysł wojenny. Odrzutowy Messerschmidt wchodził już do seryjnej produkcji. W obozach koncentracyjnych więźniowie umierali najbardziej naturalną głodową śmiercią. Oświęcimski komin dymił w roboczym rytmie. Do obrony Rzeszy sposobiono najstarsze i najmłodsze roczniki zdolnych do służby wojskowej. Armia jeńców, robotników przymusowych i dobrowolnych budowała linie obronne. A w Berlinie pamiętano, co się wydarzyło dwieście lat temu, pod sam koniec wojny siedmioletniej. Wydarzył się „cud nad Szprewą”, czy może raczej „cud nad Newą”: oczywiście, nie używano nigdy takiego określenia. Fryderyk, zwany potem „Wielkim”, został już, mogło się tak wydać, ostatecznie pokonany, utracił nawet stolicę. I oto nagły przewrót pałacowy w Rosji ratuje Prusy oraz ich wojowniczego króla.

Wydaje się, że Powstanie klęski Hitlera nie przyspieszyło, a jeśli opóźniło, tym większa jego daremność.

Opiewanie sukcesów bojowych Powstania doprowadzić może do ich popularyzacji przez komercjalizację. Nietrudno wyobrazić sobie kilka przykładowych gier komputerowych „Jeden strzał, jeden Niemiec”,

„Podchody w kanałach”, „Paintball w ruinach” (trzeba by je wybudować), ale bardziej szkodliwe dla pamięci Powstania byłoby jej zdziecinienie (także za sprawą owych gier). Napisano już szereg książek ku pokrzepieniu serc (tylko do tego trzeba geniuszu Sienkiewicza), o tym, że wrzesień 1939 roku obfitował w niemieckie porażki i czasem trudno z tych lektur zorientować się, kto wygrał kampanię. I skąd szok wrześniowej klęski, za które Powstanie miało być rewanżem. Ale nie było. A ponieważ pisanie o zagładzie miasta, masowych mordach, wytykanie organizatorom Powstania braków w broni i amunicji, może wydać się nużące i jałowe, wraca się do powstańczych wyczynów. Te były niezwykle, naprawdę, tym bardziej że dokonywano je pomimo błędów wojskowych, sytuacji politycznej rozpaczliwej, z nadzieją moralnego raczej zwycięstwa. Ale patriotycznie najpoprawniejsza stała się opinia, że Powstanie wywołane zostało słusznie i nieuchronnie, odegrało ważną rolę, właściwie zwyciężyło.

Przypisuje się Powstaniu jeszcze jedną zasługę dla świata (również Davies zdaje się tak uważać). Oto przy tej okazji alianci nabrali wobec Stalina nieufności, koalicja przeżyła kryzys, który niedługo potem stał się zaczątkiem „zimnej wojny”. Co do kryzysu, niebezpieczna to logika, że z powodu Warszawy mogła się w tym momencie rozchwiać koalicja, bo wtedy mógłby się zawalić cały świat. A „zimna wojna” nie była dla nas pomyślna: za „żelazną kurtyną” rozprawiano się bez przeszkód z powstańcami. Opowiadał mi jeden z nich, nikt ważny, nie specjalnego, historia właściwie jakich wiele. Otóż był wtedy w śledztwie, młody, więc przeżył i potem nawet dobrze mu się powodziło (już umarł). Więc ubowcy kładli go na podłogę i kłuli bagnetem w pośladki, żeby się poderwał do okna i sprawdził, czy aby nie nadjeżdża generał Anders na białym koniu.

Jeżeli ockniemy się z rocznicowego uniesienia albo obudzi nas refleksja, wrócą pytania o dwieście tysięcy ofiar (według przybliżonych obliczeń; w tym, albo ponad to, osiemnaście tysięcy poległych powstańców), zniszczone miasto, które niespełna półtora roku wcześniej straciło swoją wielką żydowską dzielnicę, wraz ze wszystkimi jej mieszkańcami. I mało kogo zadowoli prosta odpowiedź, że miasto zniszczono, ludzi mordowano na rozkaz Hitlera, w czym Hitlerowi jego śmiertelny wróg Stalin, sojusznik naszych sojuszników nie zechciał przeszkodzić.

Czy jakiś późny wnuk Powstania, to już sprawa historiozoficznego gustu, będzie myślał głównie o cudzych grzechach, czy raczej rozpamiętywał, myśląc o Powstaniu, polskie pomyłki i błędy. Co wybierze? To klasyczny spór, toczy się od rozbiorów. Kto bardziej za nie odpowiedzialny, swoi czy obcy? Wydaje się, że w tym porządku oskarżanie na przykład Katarzyny II jest bezcelowe: ta wybitna wrogi-ni Polski trzymała się po prostu interesów swojego imperium. Jeśli ktoś nie dotrzymał nam słowa, zwiódł, zawiódł, nawet zdradził (różnie kwalifikuje się chroniczne nie udzielanie pomocy wszystkim polskim powstaniom, z warszawskim włącznie), to przecież czynił to świadomie, bo tak mu się jego, nie naszym przecież zdaniem, wydawało i opłacało. Więc raczej nie naiwność polityczna, nieuwaga, niewiedza, sprawiła, że ten czy ów nasz zachodni aliant dał się chytremu kaukaskiemu góralowi (Davies przyznaje Stalinowi również inteligencję) wyprowadzić w pole. Widocznie tak wołał, trzeba dopuścić taki amoralny, wcale nie alternatywny, tylko wielce rzeczywisty scenariusz.

Gdyby ów zachodni sojusznik nas przeproszał (nie było okazji, nie było takiego zwyczaju podczas zimnej wojny), zgrzeszyłyby hipokryzją. Chociaż alianci martwili się o nas, podziwiali i ubolewali, życzyli nam, za „żelazną kurtyną”, jak najlepiej. Za to przeproszają nas przedstawiciele następnych pokoleń, a ponieważ ma to coraz mniejsze znaczenie, przeproszają skwapliwie i wylewnie. Żeby sobie sprawić satysfakcję, nam

przyjemność. A czy tak musi i musiało być? Tak już jest. „Narody sumienia nie mają” – napisał nie żaden machiawelski politolog czy polityk, tylko nasz stary mądry Fredro, którego przywykliśmy uważać za narodowego komediopisarza, ale który chyba również z powodów patriotycznych był permanentnie w złym humorze.

Alianci nie pomogli nam, mamy do nich żal i pretensję, w czym źródłowo utwierdza nas Norman Davies, choć przypomina również, że nie dosyć czujnie o to zabiegaliśmy. Jakby zobowiązanie sojusznicze w polityce czy na wojnie samo przez się było wystarczającą gwarancją. Ale na wojnie tak już jest, że przegrywający nie mogą doczekać się pomocy. Żeby oddalić się na chwilę w historię, marszałek Francji Grouchy nie zdążył z odsieczą, na którą liczył pod Waterloo sam Napoleon. Szlachetnego Kościuszki pod Maciejowicami nie uratował (a czy mógł uratować?) generał Poniński i nigdy nie mógł się z tego wytłumaczyć, bo nosił nazwisko zhańbione udziałem w Targowicy. Bodaj Wellington powiedział, że na wojnie najważniejsze jest odgadnąć, co kryje się za najbliższym wzgórzem. Ale za Wisłą, skąd ciągnęła w lipcu 1944 roku Armia Czerwona nie ma i nie było nigdy żadnych wzgórz. Na wojnie, broni się dowódców Powstania, nie sposób wszystkiego przewidzieć, a ryzykować trzeba. Ale trzeba też mieć szczęście i to jest zawodowym oficerskim obowiązkiem. A przywódcy Powstania mieli zbyt mało podstaw, aby na to szczęście liczyć. Stąd nawet do Stalina jakieś pretensje (powinien przecież pomóc, tak byłoby lepiej dla nas i dla niego), chociaż było widoczne (żadnych wzgórz za Wisłą), kim był, również dla Polski.

Jak dotąd nie wyraża się rozczarowania wobec Hitlera. Bo nie wiadomo, jak daleko zajdzie rewizjonizm historyczny. Kuriozalna teoria, że Powstanie, niczym drugi „cud nad Wisłą”, a więc słusznie, powstrzymało Armię Czerwoną (co prawda w walce z Niemcami, ale oni też opierali się Stalinowi, a więc Hitler powinien być Powstańcom obiektywnie wdzięczny) – wydaje się niebezpiecznym krokiem w tym kierunku.

Upiększanie Powstania jako bardzo szczególnego zwycięstwa jest jednak dla krytycznej, a więc dojrzałej, odpornej świadomości społeczeństwa nieszkodliwe w porównaniu z ustawicznym rozpamiętywaniem wiarołomności czy zdrady, których padaliśmy ofiarą. To już polska tradycja: postrzegać się jako naród najdzielniejszy zarazem i szczególnie krzywdzony, choć cieszący się też niebieskimi protekcjami. Czy to możliwe być zarazem pięknym zwycięzcą i rzewnym przegranym? Ponieważ w dziejach najnowszych więcej znajdzie się przykładów na tę gorszą sytuację, mimo że ostatnio niebo nam sprzyja, wciąż nadmiernie się skarżymy. Toksyczna psychika: ale człowiek, który uległ zatruciu i jest tego świadomy, chciałby przynajmniej, żeby jego dzieci tego uniknęły. Niewiary w siebie, która każe szukać obrońcy i protektora. Stąd również samopochlebca skądinąd myśl, że byliśmy, jesteśmy, będziemy jakimś mostem-pomostem między, obojętne, Wschodem i Zachodem, Europą i Ameryką, Bałtykiem czy Morzem Czarnym. Ale to znaczy również czymś przejściowym, czymś po drodze, czyli mało w gruncie rzeczy obowiązującym. Bo pomijając okoliczność, że mosty-pomosty w tych ponaddzwiękowych, światłowodowych czasach nikomu nie są potrzebne, na moście-pomoście nic nie rośnie, niczego specjalnego nie tworzy się, nie buduje, mało kto się tam zatrzyma, najwyżej, jeśli znajdą się chętni, można zbierać myto. Podejrzliwość wobec świata, przyzwyczajanie się do jego obcości, splątane ze sobą kompleksy wyższości i niższości, powodują rezygnację, rodzą ksenofobię, kuszą emigracyjną ucieczką. Takie trzy polskie siostry: rezygnacja, ksenofobia, emigracja. Ta ostatnia, choć spowita w romantyczną legendę, jest chroniczną polską dolegliwością, którą trzeba doliczyć do kosztów wszystkich powstań, w tym ostatniego warszawskiego. Chociaż właśnie na emigracji, w

zastępczej XIX-wiecznej stolicy Polski, Paryżu, przed stukilkudziesięciu laty zrodziła się ważna tradycja. „I długie nocne rodaków rozmowy”. Aby mieć wzajemnie pretensje, przede wszystkim do siebie, bo obce adresy są mylne albo nieskuteczne. I w ten męczący sposób w sporze, w dyskusji, wykształcać własną tożsamość.

## II

# Rocznica nadziei, rocznica żałoby

Wprawdzie urodzony w Warszawie, ale z galicyjskich rodziców, najwcześniejsze wojenne dzieciństwo spędziłem u dziadka na wsi między Dębicą a Mielcem. I nic złego mi się tam nie stało. Pod lasem w ziemnym schronie ukrywali się przez parę lat Żydzi z zassowskiego rynku, pobliską wioskę Róża spalili Niemcy, zabijając kilkanaście osób. Przez całą okupację nikt z przesłuchiwanym na gestapo w Dębicy nie wydał, że również u nas, właśnie w Zassowie, przechowuje się broń i tam jest dowództwo miejscowej placówki AK. O tym wszystkim dowadywałem się stopniowo, znacznie później: z tamtych czasów pozostało mi, jako najwyraźniejsze, wspomnienie pocisków V-2 wystrzeliwanych z niedalekiego Pustkowa, ale nie wytłumaczono mi dokąd tak lecą wysoko po niebie.

A Powstanie Warszawskie doszło do mojej świadomości dopiero kilka lat po wojnie; zamieszkaliśmy wówczas w blokach przedwojennego Ministerstwa Skarbu na granicy Żoliborza i Marymontu. W sąsiedztwie było trochę wypalonych i zburzonych domów, ale nasze solidne bloki ocalały. Osławioną, jedenastą przechodnią klatkę schodową po zmroku przebiegało się z dreszczem, bo podobno tam, w piwnicy, przez dłuższy czas leżeli zabici Niemcy. W kościele na górcie mszę odprawiał siwowłosy ksiądz Zygmunt Truszyński, marianin, ps. Alkatraz, legendarny powstańczy kapelan. Powstanie, choć zaledwie o parę lat odległe, wydawało się jakąś tajemniczą przeszłością. Mało o nim mówiono i opiewano je raczej półgłosem. Czy to ze względu na coraz wyraźniejsze oficjalne nastawienie? Czy też ludzie chcieli po prostu zapomnieć o strasznych przejściach? (Znam również takich uczestników i świadków Powstania, którzy do dziś dnia nie chcą oglądać filmów ani czytać książek wojennych). Wtedy nie musiałem sobie z tego wszystkiego zdawać sprawy, ale i dzisiaj nie jestem pewien, jak procentowo układałyby się odpowiedzi na owe pytania. Dla większego komfortu respondentów takie głosowanie powinno być anonimowe.

Kiedy front spod Stalingradu cofnął się aż pod nasz dom i dwanaście (tak zapamiętałem) „panter” czy „tygrysów” (gdyby przyszło mi spędzić Powstanie w Warszawie, może miałbym na całe życie utrwaloną różnicę między tymi pancernymi zwierzętami) zajęło wokoło pozycję obronną, wdrapałem się na którąś z maszyn, zwabiony obietnicą cukierków. Kolejne trzy dni, okoliczne dzieci, kobiety i starcy przeżyli schowani w piwnicy; na powierzchni szalała ciężka bitwa. Jakiemuś (straszone mnie) nerwowemu panu, który wychylił się na światło dzienne, odstrzelono nos. Front przesunął się jeszcze trochę i ustalił na pół roku, aż



do ofensywy styczniowej, o jakieś dwa-trzy kilometry na zachód. W tamtej piwnicy straciłem swoich ukochanych ołowianych żołnierzy; do dziś jest dla mnie zagadką, że produkowano je obficie w Generalnej Guberni, chociaż był przecież ogromny popyt na ołów do zabijania. Sowieci (jak się mówiło wtedy i jak się mawia obecnie od niedawna) wygonili nas wreszcie z piwnicy i kazali uciekać na tyły, dalej od frontu. Biegliśmy więc rażno, matka, siostra i ja, w słońcu i huku wystrzałów, mijając jakieś trupy dyskretnie odwrócone w rowie, potem odpoczywaliśmy na furmance. Pamiętam pierwszy nocleg w ziemiance, wydrążonej na urwistym, gliniastym brzegu jakiejś rzeczki, i to, że bardzo mi się tam podobało. A następny wieczór w oficynie zaprzyjaźnionego dworu dobrych, chociaż już nie najbliższych, sąsiadów dziadka. W salonie mój prawie rówieśnik, wunderkind, grał Chopina, ja zaś, zmyliwszy czujność matki, szedłem słuchać radzieckich śpiewów z harmoszką przy ognisku. Słowem, udało nam się, nikt nas nie skrzywdził, nie byliśmy też świadkami jakichś okrucieństw czy gwałtów.

Najboleśniejszym przeżyciem z tego czasu była dla mnie sprawa mojego psa, irlandzkiego setera imieniem Lord. Miałem go po stryju, który poszedł na akcję „Burza” i poległ wkrótce potem. Pewnej nocy obudziło nas drapanie do drzwi: to Lord, który zaginął gdzieś wśród strzelaniny, przybiegł do nas kilkadziesiąt kilometrów przez linię frontu. Następnego dnia pogryzły go i przepędziły miejscowe brytany. Oszałały ze strachu, wrócił do majątku dziadka i stamtąd wziął go na wojnę radziecki major. I czasem zastanawiałem się czy mój Lord doszedł do Berlina.

Kiedy śpiewający ogniskowi z Armii Czerwonej kazali mi iść spać, wracałem nucąc „sowieckie” piosenki do oficyny, gdzie nas przyjęto, a szczury na ganku (podobno zjadły żywcem świnie w chlewie, ale to mi wówczas specjalnie nie imponowało) rozstępowały się grzecznie w świetle księżyca. Słowem, idylla: kiedyś, przypadkiem, wymieniłem wojenne wspomnienia z kolegą równolatkim. On przeżył Powstanie: przeżył, bo rów w poprzek ulicy, którym biegł z matką trzymając ją za rękę, był dość głęboki i nie dosięgła go kula strzelca wyborowego. Ale był za płytki dla dorosłego, więc matka, choć biegła schylona, zginęła na miejscu.

Nie wiem, czy mój kolega chodzi co roku na Powązki wojskowe, raczej nie. Ja nikogo bliskiego tam nie mam, daleki stryj Franciszek zginął w 1939 roku broniąc Warszawy, gdzieś od strony Lasku Bielańskiego, ale to chyba za mało, żeby się przypisywać do warszawskich tradycji, zresztą nie wiadomo nawet, gdzie leży. Ale w rocznicowym 1994 roku pospieszyłem jak wszyscy na Godzinę „W”, na 17.00. W autobusowo-tramwajowej gorączce trudno było przewidzieć, gdzie zaskoczą mnie syreny obwieszczające dokładnie, co do sekundy, rocznicę wielkiego wybuchu. Udało mi się zdążyć i oto, kiedy ich metaliczny dźwięk wzbija się nad cmentarzem, jestem już na miejscu. Zapamiętuję sobie najbliższą tablicę pod brzozowym krzyżem: Krystyna Barbara Barczyk, San. „Kamila”, żołnierz AK, ur. 18 VII 27, Pol. 18 VIII 44, Starówka, Baon Miotła. Blisko mnie, być może bez żadnego związku z tym grobem, płacze jakaś kobieta. I przychodzi mi do głowy, że prawdopodobnie miałyby ona trudności z uzasadnieniem tezy o zwycięstwie Warszawy, zawartej w licznych przemówieniach tego dnia wygłaszanych. Na szczęście nikt jej o nic nie pyta, młodzi reporterzy polują na twarze polityczne oraz powstańców z emigracji, którzy dają wyraz uprzejmemu przeświadczeniu, że gdyby co do czego, to współczesna młodzież wystąpiłaby nie gorzej niż oni sami, przed pięćdziesięciu laty. Więc ja, aby nie popsuć sobie wzruszenia, wbijam się w tłum pod pomnikiem „Gloria Victis”. Tu pot obficie leje się na wszystkich, ale nikomu to nie przeszkadza i wydaje się nawet, że każdy, kto tutaj przyszedł, stary, młody, radosny czy zgnębiony, specjalnie tak się tłoczy, żeby być razem.

Lecz kiedy tylko, skąpany w tej braterskiej równości, wydostają się na alejki rozświetlone słońcem i zniczami, dopadają mnie mieszane uczucia. Dlaczego równi sobie Baczyński i Gajcy, których jednako kocham, nie zostali jednako potraktowani? Baczyński jak najślusniej ma własny komitet obchodowy, telewizję nad grobem, ale dlaczego Gajcemu, który leży tylko kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie Alei Zasłużonych, nie zafundowano nawet biało-czerwonej powstańczej wstążki, do której ma prawo jako strzelec – pseudonim Karol Topornicki? Na szczęście Czesław Miłosz, bez którego, czy się go lubi czy też nie, w żadnej ważnej sprawie nie sposób się obyć, poświęcił Gajcemu wspaniały wiersz *Ballada*. A właściwie matce Gajcego, która odwiedza zapomniany grób syna. Gajcy był ideowo daleki Miłoszowi. A jednak Miłosz pamiętał o nim w podparyskim Mongeron, kilkanaście lat po Powstaniu. Okazało się rzeczywiście, raz jeszcze, że „poeta pamięta”.

Dlaczego, tak już jest, że zamiast najpiękniej, tzn. najprościej, uczcić pamięć – oddać hołd, forsuje się pomnikowe dziwactwa wśród gorszących awantur? Mam tu na myśli pomnik na placu Krasieńskich oraz widowisko z okazji pięćdziesiątej rocznicy. Gdyby artystyczna grafomania była jedyną cechą wolności, warto ją pewnie zapłacić, tym bardziej że patos, błyski i huki, retoryczna licytacja, nawet używanie Powstania do bieżącej zagrywki politycznej (a więc jednak na coś się ono wciąż zdaje) może spodobać się weteranom; mają do tego ludzkie, historyczne prawo po pięćdziesięciu trudnych dla tej pamięci latach. Mnie jednak idzie o samo Powstanie: obchody zawsze będą bardziej lub mniej przekonujące, a na to przekonanie może mieć wpływ nawet okoliczność, w której dzielnicy Warszawy się mieszka. Dawno już opuściłem pełen powstańczych tajemnic Marymont, ojczyznę Gajcego, bywam w okolicach PAST-y, gdzie powstańcy odnieśli swoje najślawniejsze zwycięstwo. Natomiast, na Ochocie, mogę zobaczyć miejsca, które każą się jednak zastanowić (to wolno każdemu), czy decyzja o Powstaniu była trafna (tak, właśnie, trafna, nie – słusna czy niesłusna), a jej wykonanie poprawne. Tu, na zieleniaku, gdzie dzisiaj tętni wolnorynkowym życiem targowisko, hitlerowcy (użyję tu ogólnej zbiorczej nazwy) pastwili się bezkarnie nad ludnością. A kilkaset metrów stąd, z okien domu studenckiego na placu Narutowicza, wystrzelali oddział młodzieży, której ktoś pozwolił, to jest dał rozkaz, praktycznie z gołymi rękami, próbować szturmować bez szans.

Zapewne tu, jak i gdzie indziej w całej Warszawie, młodzież rwała się do walki, tylko czekała na odpowiedni rozkaz. Wiadomo, że młodzież w ogóle ma gest, skłonna jest ofiarnie ryzykować życiem, które ma przed sobą. Służył tym nastrojom mit o „wybrańcach bogów” i polska piosenka sławiąca ułanów, co nie żalują kolegi i jakby w przystępie prawdziwie absurdałnego humoru, jeszcze traktują go końmi. Dałoby się nawet, biorąc za przykład tamtą masakrę z placu Narutowicza, pofilozofować, że właściwie nie było co tak bardzo upierać się przy życiu. Skoro trzeba umrzeć, to już lepiej na kolanach miłej sanitariuszki (kto wie, czy wkrótce nie spotkają się obydwójce po tamtej stronie), niż w kilka dziesiątków lat później, mając za sobą niejedno upokorzenie z powodu tamtych dni, w szpitalu, powiedzmy, na Solcu. Na korytarzu, co brzmi okropnie, ale tam podobno, wbrew pozorom, intymniej, bo samotniej się umiera niż w kącie zbiorowej sali.

Ojca pamiętam dopiero z dnia zakończenia wojny, który obchodziliśmy rodzinnie w mieszkaniu drugiego, krakowskiego dziadka. Wydawał mi się zwycięski na tle okna, w rozbłyskach rac świetlnych i krzyżujących się reflektorów. Poszedł na wojnę w 1939 roku, okupację spędził na konspiracji, w domu bywał rzadko, dyskretnie, niespodziewanie, ale z różnych opresji wyszedł cało i chyba nie cierpiał na brak nadziei.

Później bywało rozmaicie, ale owego dnia 9 maja 1945 roku, mimo że dopiero co zderzył się z historią (akcja „Burza”, doświadczenia z NKWD, niewykonalne rozkazy z Londynu, doraźna, lokalna sytuacja, słowem, dramat zamiast święta), a skutki owego zdarzenia miał odczuwać do końca życia, musiał przecież radować się, że oto skończyła się wielka i straszna wojna. Miał czterech starszych braci; wszyscy odsłużyli obie wojny światowe. Dwóch zginęło: najstarszy, artylerzysta, z ręki (prawdopodobnie od szabli) czerwonych kozaków Budionnego, gdzieś pod Włodzimierzem Wołyńskim, w roku 1920. Drugi, dowódca owej placówki Zassów – w leśnym bunkrze, jesienią 1944 roku od kuli hitlerowskiej. Ale obaj zginęli w walce, to bardzo ważne, z bronią w ręku; tę okoliczność, jak na polskie standardy, można uznać za pomyślną. Stąd może w odziedziczonej tradycji rodzinnej pewne zrównoważenie w uczuciach patriotycznych wobec nieprzyjaciół. A do tego ostrożność wobec wysokich słów, które albo nie kosztują (to niedobrze, wtedy ich się nie ceni), albo kosztują o wiele za drogo (to tragicznie).

Ponieważ losy wojenne naszej rodziny uważam za uprzywilejowane, nigdy nie miałbym śmiałości twierdzić, że wojna była wspaniałą szkołą charakterów, albo że Powstanie się opłaciło. Mnie się „opłaciło”, zapewne, bo nikogo nie straciłem, więc mógłbym się darmo wzruszać, ale właśnie dlatego chyba mi nie wypada. A w ogóle komu wypada mówić, że się opłaciło, kto ma do tego prawo? Chętnie powołujemy się na poległych, bo nie możemy zapytać ich o zdanie. Nikt też nie będzie się upierał przy ludziach przypadkowych: ich wspomnienia niekoniecznie nadają się do druku, na antenę czy przed kamerę. Pytamy więc bohaterów, którzy przeżyli; jeśli trwają w zadowalającej formie fizycznej i moralnej, mają wszelkie powody do dumy. Tak, ale za samych siebie, bo za innych, tzn. w imieniu innych, połamanych i wystraszonych, nie powinni zabierać głosu. Może nie powinni, ale lubią powoływać się na zbiorowy wielki czyn. Lecz jeśli już wśród emocji wolno odwołać się do arytmetyki, tysiąc poległych pod Monte Cassino (mniej niż berlingowców na Przyczółku Czerniakowskim), owych „tysiąc walecznych” kompletnie umundurowanych i z bronią w ręku stokroć lepiej się „opłaciło”, skuteczniej pokrzepiło serca niż 200 tysięcy ofiar Powstania. Ta liczba jest zbyt ogromna na gest, symbol, legendę. Nie nadają się do legendy dziewczęta gwałcone na zieleniaku, chłopcy wystrzelani na placu Narutowicza, ranni wymordowani po szpitalach, dzieci kobiety i starcy zabici tylko dlatego, że nie potrafili w porę skryć przed bombami albo udało im się dostać do piwnicy, ale tam zostali żywcem pogrzebani albo rozszarpani granatami, które wróg wrzucał przez piwniczne okienka.

A więc nie opłaciło się Powstanie? Zły to kupiec, który drogo kupuje, tanio sprzedaje. Wszakże nie o kupcach tutaj mowa, tylko o wojskowych politykach, co decyzję podjęli. Powiada się, powtarza arcysłusznie, że nie było wówczas dobrego wyjścia. Z pewnością Armia Czerwona (tzn. marszałek Stalin) mogła walczyć pomóc powstańcom, wspólnie z nimi zdobywać miasto, przynajmniej zgodzić się to, znaczy uczynić możliwą aliancką pomoc dla Warszawy. Stosunek sił niemieckich i radzieckich pod Warszawą był tu jednak sprawą szczegółową wobec tego, czego Stalin chciał czy nie chciał. Tu gwarancji, umowy, ba! nawet obietnicy trudno było się spodziewać po doświadczeniach wileńskich czy wołyńskich i tych najświeższych, lubelskich. Tymczasem nawet nie wzięto pod uwagę wariantu, który miał się okazać rzeczywistością. A przecież Druga Rzeczpospolita i Związek Radziecki, to dwa nowo powstałe państwa, były sobie nieprzyjacielskie: dziejowe zaszczości polsko-rosyjskie powiększyły się o rok 1920, rewanż w roku 1939, sprawę armii Andersa, Katyń,

wreszcie zerwanie stosunków. Wobec tego wszystkiego obecność w tej samej koalicji mogła wydawać się, doprawdy, (jednej czy drugiej stronie) dziełem przypadku. Wszak sojusznicy naszych sojuszników niekoniecznie są naszymi sojusznikami. A w dodatku dysproporcja sił, koalicyjnego znaczenia tak ogromna, że polskie racje moralne przeliczać można było na owe przysłowiowe papieskie dywizje w rozumieniu dowcipnego wujka Joe (jak pieścizotliwie nazywali czasem alianci Stalina). Nawet od przyjaciół w potrzebie trudno doczekać się pomocy, co dopiero od wroga czy półwroga, tylko dlatego, że znalazł się jeszcze jeden wspólny wróg.

Polscy przywódcy otwarcie i nie bez podstaw obawiający się Stalina jakoś uwierzyli, że tu, w tym przypadku jego interesy zbiegną się z naszymi. Pomoże Powstaniu, a potem jako pragmatyk, pod wrażeniem wystąpienia AK, zbrojnego ramienia legalnego Rządu Londyńskiego, będzie mniej poważnie traktować swoich zwolenników pozbawionych w kraju poparcia? Tymczasem on chyba patrzył zupełnie inaczej, dalekowzroczniejsz z własnego, nie polskiego przecież czy nawet alianckiego punktu widzenia: zapewne do-  
brze się zastanowił, zanim w Powstaniu, to znaczy w klęsce Powstania, dostrzegł szansę poradzenia sobie z Warszawą. Co widać było dla niego o wiele ważniejsze niż kolejny postęp na froncie zwycięsko przesądzonej wojny. Zresztą, z chwilą kiedy front ustalał się na Wiśle, Warszawa straciła strategiczną doniosłość. Armia Czerwona uchwyciła już przyczółki potrzebne do przyszłej ofensywy. Decyzja za Powstaniem wyglądała tym bardziej lekkomyślnie, że w Londynie, głównej alianckiej stolicy, dawano przecież Polakom do zrozumienia wprost, mówiono czasem brutalnie, czasem współczująco, czasem cynicznie, że nie robią nikomu łaski przelewając krew. Zgoda, jest to dobrze widziane, ale w końcu czynione w ich własnym, Polaków, interesie. Który jednakże sprawia wrażenie wybitnie partykularnego wobec perspektyw przyszłego światowego ładu, jaki wypadnie budować po rozgromieniu Hitlera. W czym ZSRR był bezcennym, niezastąpionym współnikiem. (Co prawda prezydent Clinton oświadczył w pięćdziesiątą rocznicę D-Day, że to właśnie lądowanie 6 czerwca 1944 roku w Normandii było punktem zwrotnym w dziejach wojny, ale co on tam może wiedzieć, nie było go wówczas na świecie, nawet wróble jeszcze o nim nie ćwierkały).

Zarzuca się politykom, że karmią społeczeństwo złudzeniami, ale oni sami również, występując w jego imieniu, poddają się im z całą naiwnością. Polityków wojskowych, którzy ogłosili Godzinę „W”, najmocniej obciąża ocena szans własnych oddziałów wobec niemieckiego garnizonu Warszawy oraz regularnych jednostek, które mogły mu przyjść z pomocą. Niepojęte, jak zawodowcy mogli uwierzyć w visy na tygrysy, barykady wobec bomb, „goliatów” i miotaczy płomieni, plutony i kompanie głównie z nazwy, bo tylko częściowo uzbrojone, ledwie zaopatrzone w amunicję, przeciw fachowo przygotowanym do obrony gniazdom oporu. I do tego jeszcze wiara, że wyszkolenie na podmiejskich wycieczkach może zastąpić doświadczenia prawdziwej wojny. „Monter” wydał, tuż przed Powstaniem, instrukcję, mocno na wyrost (którą potwierdził rozkazem kilkanaście dni później), jak postępować z wziętym do niewoli wrogiem. Esesmanów, gestapowców, żandarmów, policjantów – rozstrzeliwać. Wehrmacht traktować według międzynarodowych konwencji. Tylko że Wehrmacht 1 sierpnia 1944 r. stanowił połowę garnizonu warszawskiego.

Opowiadał mi były powstaniec (miał piętnaście lat) z Sadyby, peryferyjnej wówczas i bez strategicznego znaczenia dzielnicy miasta, że broni w ręku nie miał ani razu. Kiedy jechał rowerem na Godzinę „W” z bochenkiem chleba w chlebaku zatrzymał go żandarm, ale zwiedziony dziecięcym wyglądem pozwolił

jechać dalej do cioci. Na zbiórce nie zastał już nikogo, przypadkowo trafił na Sadybę. Zamiętał, jak cywile sarkali patrząc na dziesięcioosobowy patrol powstańczy zbrojny w biało-czerwone opaski, pistolet i dwa granaty. Na pobliskich Siekierkach szaleli włosowcy, ale nie było jak interweniować: wypadało się raczej modlić, żeby tu nie przyszli. W okresie względnego spokoju, kiedy na skraju Sadyby pojawiał się czołg, dyżurny łącznik-obszernik grzał pieszko po jedyny na całą dzielnicę karabin przeciwpancerny. Natychmiast dwuosobowa obsługa donosi karabin na stanowisko. Lecz oto czołg znika: jednocześnie meldunek, że z drugiej strony widziano inny czołg. Więc znów pędem z karabinem, w przeciwnym kierunku, żeby choć kule zabębniły po metalu, a opancerzony zwiadowca trochę się przestraszył i cofnął, skąd wyjechał. Dla naszego powstańca obrazem niemieckiej potęgi była scena kapitulacji dzielnicy: spieszony lotnik z obandażowaną głową pruje z działka wzdłuż przelotowej ulicy. Trochę na wiwat, trochę na wszelki wypadek, na postrach. Żołnierze niemieccy, wszyscy w hełmach, zmęczeni, obwieszani taśmami naboju, fasują punktualnie dostarczoną zupę; kilkanaście karabinów maszynowych, ustawionych w rzędzie (nasz powstaniec nie widział nigdy tylu naraz), zabezpieczy w razie czego zdobytą dzielnicę.

Mówi się, że jednak, wbrew wszelakim zarzutom, rachuby dowództwa na bojowość i wytrwałość podkomendnych w znacznej mierze się sprawdziły. Tak, tylko jakim, czym kosztem? Otóż właśnie najlepszych, elitarnych oddziałów, które wyrównywały, na ile to w ludzkiej mocy, tamte dysproporcje nie tylko fantastyczną brawurą, sprawnością, inwencją, ale po prostu krwią, dopóki jej starczyło. Także krwią tych, co nie mogli sobie w Powstaniu poradzić, ginęli w załamaniu psychicznym albo w przystępach szaleńczej odwagi nie w porę. Wreszcie ludności cywilnej pozostawionej w oblężeniu. Co do wsparcia lotnictwa i artylerii, liczono na aliantów, przeliczono się, ale bardziej dziś zdumiewa wyobrażenie dowódców, że mogą się powtórzyć sceny, które pamiętali ze swojej młodości z 1918 roku, sceny radosnego rozbrajania Niemców, bo takie nadzieje trąca już jakąś wojskową metafizyką. Ci ludzie jakby zapomnieli, z kim mają do czynienia, do czego zdolne jest hitlerowskie wojsko i policja, plus różnojęzyczne tzw. formacje kolaboracyjne. Jak skończyło się powstanie w getcie, co się działo na ulicach Warszawy w październiku 1943 roku.

Podobnie jak przez kilkadziesiąt lat polskich powstań (od kościuszkowskiego do styczniowego), niepomiarnie liczono na kosę i słuszość sprawy, nie przejmując się zbytnio wojskowym postępem technicznym, tak w roku 1944 zawierzano butelce z benzyną. To prawda, powstańcza dwururka była groźna w lesie. Kosy na sztorc, cepy czy drągi dawały radę bagietkom, wcześniej rozgotowana smoła albo nawet zwykły wrzątek skutecznie broniły miejskich bram przed Tatarami. Ale w 1944 nie sposób było poważnie traktować cywilnych szans wobec fachowej maszyny wojennej. Mówimy tu, co gorsza, o rachubach zawodowców; być może właśnie dlatego, że wychowani na regulaminach, ćwiczeni w chłodnej kalkulacji, logicznych wnioskach, panowaniu nad sobą, tak łatwo ulegają mitom i ekstrawagancjom. Tego można spodziewać się od poetów, od polityków, ci mniejsza na ile wierzą w to, co mówią. Ale poeci warszawscy akurat tęsknili do czynu (w przeciwieństwie do swoich wielkich romantycznych antenatów) i wielu z nich udało się spełnić marzenie o żołnierskiej śmierci. Byli samobójczo odporni na chorobę literacką, która mogła ich ocalić: natomiast wyżsi wojskowi właśnie ulegali nastrojom, na ich decyzje wpływało też to, jak są postrzegani i oceniani.

Kiedy dyskutowałem o Powstaniu z historykami, wysuwali argument (powołując się na profesora Kieniewicza), że w polskiej historii nie sposób stosować miary skuteczności. Wynika z tego irracjonalnie (a w nauce, inaczej niż ewentualnie w poezji, nie jest to żadną miarą komplement), że nasza historia jest jakaś szczególna, szczególniejsza od innych historii. A więc, myśląc konsekwentnie, trudno, może na próżno badać ją czy oceniać. Ale czy przystoi badaczom powoływać się na niewyraźne, odwoływać do jakiejś fatalistycznej nieuchronności dziejowej, twierdzić, że jeżeli stało się, jak się stało, tzn. jeśli Powstanie wybuchło, widocznie tak musiało być?

Musiało! Odkąd to dowódcy słuchają swoich podkomendnych? Otóż nikt z tych dowódców nie miał odwagi cywilnej (jest trudniejsza niż wojskowa, czerpie siłę z wewnętrznego przekonania), nie ośmielił się przeciwstawić powszechnym nastrojom, mimo że sytuacja do wywołania Powstania nie była stosowna. Bo nie była. Ale w końcu łatwiejsze okazało się pójść za emocją, cokolwiek by domniemywać o ciężkim sercu i wahaniach przy decyzji. Większy strach budziło oskarżenie o defetyzm i kunktatorstwo niż przemoc hitlerowska i dwuznaczność sowiecka. Licytację patriotyczną przyspieszył nie tylko PKWN; tym sposobem rywalizowano również w legalnym rządzie i opozycji. A tymczasem może należało przed wybuchem wyprowadzić z miasta choć część ludności? Albo inaczej, zrezygnować z włączenia miasta do walki, wcześniej było przecież wyłączone z akcji „Burza”, rozproszyć własne oddziały na prowincji. Albo czekać na wkroczenia Armii Czerwonej i współdziałaniem w walce skomplikować Stalinowi polityczną machinę. Może, może, nikt tego nie wie... A skoro jednak Powstanie już się stało, kiedy pierwsze dni walki wykazały, że nie ma własnych szans, że nie zaimponowało dostatecznie aliantom, a moralny, sojuszniczy szantaż nie okazał się dość skuteczny – to czy nie należało skapitulować? Bo nawet jeśli samo miasto było już, rozkazem Hitlera, skazane na zagładę, przecież dałoby się uniknąć tylu ofiar.

Do takiego kroku musiałby znaleźć się wśród dowódców-polityków ktoś o sile charakteru de Gaulle'a czy Piłsudskiego, z ich odpornością na podle oszczerstwa, szlachetne pretensje, które trzeba jednako wytrzymać, broniąc koniecznej, niepopularnej decyzji. No, ale nikogo takiego nie było wówczas ani w Warszawie, ani w Londynie. A przecież wśród zawodowych wojskowych, których mentalność warta jest często kpiny, nawet potępienia, znajdziemy współcześnie dziś odważnych właśnie w sensie tej trudniejszej, cywilnej odwagi polityków, dla których pokój, nie wojna, ich wyuczony zawód, jest celem patriotycznym. De Gaulle uniknął wielu zamachów, Icchak Rabin i Anwar Sadat zginęli z bratobójczej ręki. Ale tacy właśnie jak oni pasują do słynnego zdania Baudelaire'a, który wyróżnia żołnierza, kapłana i poetę (pełne zdanie mniej jest godne cytowania, bo reszta społeczeństwa według poety zasługuje tylko na baty).

Jaki sens ma dyskutować nad tamtą decyzją jeszcze dziś, po sześćdziesięciu latach? Niestety, dopiero dziś jest to możliwe, teraz kiedy otwarte zostały mniej więcej wschodnie i zachodnie archiwa (jak zwykle dopiero wówczas, kiedy nie ma to już praktycznego znaczenia), a przede wszystkim nie powinna działać podwójna cenzura. Jest możliwe, ale z tej możliwości się nie korzysta. Albo korzysta jakby mniej, a w każdym razie nie więcej niż poprzednio, kiedy każda dyskusja była utrudniona i uwarunkowana. Od początku nie brakowało krytycznych głosów wojskowych i cywilnych. Jednak niechętny Powstaniu Wódz Naczelny nie zakazał jasno Powstania i udał się unikiem w podróż inspekcyjną II Korpusu we Włoszech. Szeregowy uczestnik Powstania Stefan Kisielewski czy młodzi uczestnicy Powstania, którzy na emigracji współtworzyli rewidującą